

# KRONIKA TYGODNIOWA.

(Drugi tydzień kanikuly. — Bazes i Łata. — Jeszcze o walce lokatorów z kamienicznikami. — Czesi w Krakowie. — Dar Grunwaldzki i dar Roseggera. — Cholera. — Jagiellońskie smrody. — Artystyczny wygląd miasta. — Sensacyjne artykuły. — Tryumf niewiast. — Niegrzeczni Hannowerczycy. — Coś niecoś z polityki. — Meteorologiczne zakończenie).

I drugi tydzień kanikuly przyniósł nam kilka wypadków, które zajęły ogół osamotnionych Krakowian. Po Barbarze Ubryk przyszła kolej na „aresztowanie Bazesa za dwa centy“, jak głosili kolporterzy, a już koroną zdarzeń była nieudana ucieczka p. Łaty i towarzyszy, którym sprzykrzył się monotonny pobyt w murach kryminału.

Aresztowanie Bazesa rozradowało niepomiernie krakowskich kapitalistów, którzy mu zazdrościli wielkiej fortuny, ucieczka Łaty zmartwiła wiedeńskiego kata, p. Langa, który wybiera się w podróż do Galicji. Siczyński wymknął się mu już z rąk, to samo miał zamiar urządzić obecnie i Łata, a tu teraz takie ciężkie czasy! Ta radość i to zmartwienie były jednakowoż krótkie i znikome, jak wogóle losy ludzkie, o Bazecie wkrótce zapomniano, Łata powrócił także w gościnne progi, gdzie przyjęto go z radością, jak niegdyś owego biblijnego marnotrawnego syna.

Ze pobyt w murach więziennych nie jest wcale przyjemny, to rzecz łatwo zrozumiała, przecież nawet p. Borowska nudzi się tam szalenie, a cóż dopiero powiedzieć o panu Łacie, który ma wszelką nadzieję, że wejdzie w bliższą znajomość z wspomnianym już wyżej p. Langiem, jedynym w Austrii urzędnikiem, który niema wcale żadnych zaległości. Złą tylko drogę obrali sobie uciekinierzy, kierując swe kroki do kanału, gdyż zarząd więzień, wiedząc o tem, że jego lokatorzy tęsknią do wolności i w podziemiach pounieśczał kraty, które uciekającą czwórkę powstrzymały w drodze do wolności.

Mieliśmy także i małą eksplozyjkę, nie spowodowaną wprawdzie bombą, ale w każdym razie był huk, a naród miał się na co gapić. Z owej eksplozyji przekonaliśmy się, że najwardziej „pechowną“ jest w Krakowie ulica świętego Sebastjana, gdzie niedawno wóz zabił robotnika, a obecnie „Tęcza“ chciała wylecieć w powietrze. Skorzystają może z tego lokatorzy, którym właściciele zniżą czynsze, byle ich tylko utrzymać na miejscu. Nie wiem, czy spełni się moje przewidywanie, gdyż nasi kamienicznicy są bardziej twardzi niż kamienie, których używają do budowy.

W całej pełni zalety ich i wady poznaliśmy obecnie, gdyż z powodu braku innego zajęcia lokatorzy z Kazimierza już czwartą z rzędu niedzielę obradują pod gołym niebem i wieszają psy na kamienicznikach, którzy znów śmieją się w kulak, przemysłiwając tylko nad sposobnością podwyższenia czynszów od najbliższego kwartału. Nie wiem jednak komu wierzyć. Lokatorzy narzekają na właścicieli, ci znowu przedstawiają się za męczenników, żyjących i pracujących tylko dla dobra najemców, a nie znajdujących niestety uznania. Wprawdzie kamienicy dotąd nie miałem i jak się zdaje, mieć jej nigdy nie będę, sądząc jednak, że daleko przyjemniejsze jest życie kamienicznika, niż biednego lokatora, zwłaszcza w obecnych czasach, kiedy wartość domów podskoczyła prawie w dwójnasób.

Tak, jak rzeźnicy i piekarze, narzekają i kamienicznicy na magistrat, iż nie idzie im na rękę, owszem przeszkadza nawet, by nie odzierali lokatorów ze skóry. Najbardziej martwi ich okoliczność, iż z powodu zniesienia dawnych wałów fortyfikacyjnych przybędzie Krakowowi bardzo wiele miejsca pod budowę, wobec czego i cena mieszkań z czasem musi się obniżyć, gdy ich będzie więcej, niż obecnie. Smuci ich również popieranie przez Radę miejską stowarzyszenia, mającego na celu budowę tanich domów dla urzędników i projektowana budowa miejskich domów dla personelu, podległego Radzie miejskiej. To są wszystko gwoździe do ich trumny, jak sami powiadają, ale zarazem nadzieja dla lokatorów, że może przecież po wielu a wielu jeszcze latach nastanie w Krakowie szczęśliwa chwila, iż będzie można za pięćset guldenów wynająć mieszkanie, składające się z trzech pokoi i kuchni z przynależnościami.

Akcja przeciw kamienicznikom jest dla każdego nader sympatyczną, gdyż niema, zdaje się, w Krakowie i wogóle na świecie lokatora, któryby kochał swego mieszkaniodawcę, tak jak niema kamienicznika, nie narzekającego na lokatorów.

Z kolei rzeczy zanotować należy zapowiedziany na najbliższą niedzielę przyjazd Czechów, którzy jadąc na wystawę do Częstochowy, wstępują po drodze i do Krakowa, aby rewizytować nas po zeszło-

rocznych odwiedzinach w Pradze. Zawiązał się też komitet, aby godnie przyjąć braci Słowian z nad Wełtawy, przeciętny Krakowianin uczy się na gwałt po czesku, a tylko pan baron Götz zmartwiony, gdyż w tym tygodniu stanowczo wypijemy więcej pilznera, niż naszego krajowego okocimera. Wielcy politycy i patryoci chodzą w podniosłym nastroju, ciężarni myślami nad mowami i toastami, które z trudem rodzą się pod ich łysinami, Hawelka, owa osobliwość Krakowa, przygotowuje masę kanapek, nawet i ja dałem się porwać obecnemu ruchowi i biorę lekcje języka czeskiego, którego pod nieobecność mojej prawowitej małżonki udziela mi pewna „słeczna“ z Podiebrad.

Niemcy gniewają się, widząc owo bratanie się Słowian, zdaje mi się jednak, że to tylko może im wyjść na zdrowie. Powoli powinni się przyzwyczaić do budzenia się Słowiańszczyzny, aby przyszłoroczny Grunwald nie zastał ich nieprzygotowanych.

Z owego zjazdu powinny być i piękne skutki tak materyalne, jak i moralne, jeśli *nota bene* nie pokierujemy sprawy tak, jak my to umiemy, to jest na razie dużo krzyku i fajerwerków i na tem koniec! Tak samo, zdaje mi się, ma się rzecz i z owym darem Grunwaldzkim. Wzięliśmy się energicznie, co prawda, do dzieła, obecnie jednak zapal coraz bardziej stygnie, a wielu, którzy subskrybowali na ten cel pewne kwoty już żałuje, iż się dało nieopatrznie porwać szlachetnemu prądowi. A tymczasem Szwa-by nie próżnują i już nawołują, aby z funduszu Roseggera założyć niemiecką szkołę w kolonii Mariahilf pod Kołomyją, gdyż tam polonizują ich kamratów. U nas będzie się sto lat zbierać ów dar Grunwaldzki, drugie sto lat będzie się kłócić, kto ma nim zarządzać, a kiedy przyjdzie wreszcie do porozumienia, pokaże się, że pieniędzy niema, bo jedni obiecali, ale nie zapłacili, inni zapłacili wprawdzie, ale pieniądze rozeszły się na roboty przedwstępne, które u nas pochłaniają wszelkie fundusze. A może się myłę? Dałby to Bóg!

W rzędzie rozmaitych przyjemności wakacyjnych, między którymi trzyma prym naturalnie deszcz i zimno, zaznaczyć też należy zbliżanie się cholery, która dla nas ma tę dobrą stronę, iż dzięki jej odnośne władze przypominają sobie o porządku, higienie i innych niepotrzebnych rzeczach, które u nas przez rok cały istnieją wprawdzie, ale na papierze. Nie można zaprzeczyć, iż w ostatnich czasach poprawiły się w tej mierze stosunki w podwawelskim grodzie, nie jest jednak jeszcze tak, jak być powinno. Konserwatywny Kraków tak się zrosł ze śmieciami i błotem, iż bez nich czuje się nieswojsko, dało to nawet panu Daszyńskiemu sposobność do utworzenia „kwiatka stylistycznego“, gdy mówił zebranym na ul. Dietla lokatorom o „jagiellońskich smrodach“ Krakowa, choć odpowiedniejsze byłoby w tamtej okolicy wyrażenie, przypominające Palestynę. Każdy, kto zna Kraków, przyznać mi musi, iż takiego brudu, błota i paskudztwa, jak w domach na Kazimierzu, nie znajdzie chyba na całym świecie, a tam, jak wiadomo, mieszkają żydzi, którzy byliby woleli, gdyby towarzysz poseł był im wspominał o „smrodach palestyńskich“.

Przy tej sposobności warto zwrócić uwagę naszemu magistratowi, by, idąc śladem Lwowa, który wydał obecnie przepisy w sprawie szyldów i wywieszek, przypomniał kupcom Stradomia i Kazimierza, a nawet i Śródmieścia odnośne rozporządzenia, które zabraniają umieszczania przed sklepami różnych towarów, na czem cierpi artystyczny wygląd miasta. Wystarczy przejechać tramwajem z dworca na most Podgórski, a jest to droga, którą odbywa każdy zwiedzający Kraków, aby się przekonać, jak niektórzy kupcy krakowscy lekceważą sobie rozporządzenia władzy. Najrozmaitsze części garderoby sukiennej i płóciennej, męskiej i damskiej, niby flagi wiatrem poruszane witają przybysza, który nie bardzoby się pomylił, sądząc, iż jest nie w stolicy, ale w jakiejś zapadłej galicyjskiej miejscinie.

Szanowny Czytelnik widzi więc z tego, że mamy dość ważnych spraw, które i w sezonie kani-kularnym można się zająć, a nie potrzeba uciekać się do wyszukiwania nadnaturalnych wydarzeń, o jakich tu i ówdzie czyta się po niektórych dziennikach. Same tytuły mówią już za siebie. W ostatnim tygodniu wynotowałem sobie następujące nadzwyczajności: *Kaszląca roślina. Ludzie bez żółdka, Krawiec aeronauta.*

Ta ostatnia wiadomość nie jest niczem nadzwyczajnem, gdyż w czasie, gdy każdy człowiek choćby myślał tylko buja po powietrzu, zajęcie się krawca balonami nie jest przecież niczem tak znów bardzo ciekawem. Nieudale wzloty Lathama i tryumf Blériota poruszyły całą opinię publiczną i ta nietylko rodzaju męskiego, ale i żeńskiego. Z okazji Blériota niewiasty całego świata radują się niepomiernie,

gdyż okazało się, iż jest on w pożyciu domowym bardzo posłusznym pantoflem. Gdy szczęśliwie wylądował w Anglii i zapytano go, czy ma zamiar wracać tą samą drogą, odpowiedział całkiem skromnie, iż musi się najpierw zapytać, czy żona nie będzie miała nic przeciw temu. Nasze panie tryumfują, jest to woda na ich młyn, jeśli bowiem tak znakomity wynalazca i odważny człowiek uznaje wyższość nad sobą swej prawowitej władzy domowej, cóż mamy dopiero mówić my, którym o podobnej sławie ani się nie śniło! Że zaś niewiasty stają się coraz bardziej wojownicze, gotowo być złe z nami! Dowód energii niewieściej mieliśmy znowu we Lwowie, gdzie na cmentarzu po pogrzebie urządziły kumoszki gruntowne lanie, lecz nie mężczyźni, ale jednej ze swego grona, która zupełnie niepotrzebnie należała do trójkąta małżeńskiego w rodzinie jakiegoś motorowego od miejskiego tramwaju. Zawczasu należałoby więc pomyśleć o jakichś środkach zaradczych, aby powrót pań z willegiatury nie zastał nas nieprzygotowanych.

Wprawdzie na energię w sprawie kobiecej zdobywają się tu i ówdzie poszczególne osobniki, niestety jednak, nie u nas. Dowód takiej cywilnej odwagi rodzaju męskiego dała ostatnio dyrekcyja policji w Hannowerze, która w dawniejszych czasach wystąpiła ostro przeciw długim sukniom, a obecnie przeciw nadmiernie wielkim szpilkom u damskich kapeluszy, wychodząc z bardzo mądrej zasady, iż w miarę rozrostu kapeluszy, rośnie też i w stosunku prostym długość szpilki, co zagraża bezpieczeństwu publicznemu. Przypuszczam, iż tamtejszy dyrektor policji musi być kawalerem, do tego starym i stetryczalym, i wrogiem płci pięknej. Nasi dozorczy porządku publicznego, którzy oprócz swej przełożonej władzy rządowej muszą się liczyć i z domową, nie pozwoliliby sobie na podobną względem dam niegrzeczność.

Prócz tych wyżej przytoczonych spraw, że się tak wyrażę, domowego znaczenia, zajmowaliśmy się w ubiegłym tygodniu także i polityką. Chodziło głównie o to, czy król Edward przyjedzie do Marynenbadu, czy nie, od czasu bowiem załatwienia sporu między Austrią a Serbią stracił tak na wadze, iż mu kuracja marynenbadzka już nie jest potrzebna. Pan Clemenceau natomiast zjechał już do Austrii i kapie się bardzo gorliwie, wdzięczny kolidze Briandowi, iż uwolnił go od kłopotów rządzenia. Anglicy i Niemcy z zawiścią patrzą na tryumf Francuzów, którzy uzyskali rekord napowietrzny, a Hiszpania poci się w Afryce i u siebie, wdawszy się w zupełnie nierentowne przedsięwzięcie walki z Kabyłami. Podróże monarchów zajmują też uwagę politykującego świata, bo właśnie z końcem wakacji rozpoczyna się ich sezon. W Persyi i Turcyi względny spokój, o Krete kłótnia jeszcze nie ukończona, zdaje się jednak, iż i tu sprawa załatwioną będzie pokojowo, aby nie dać sposobności reszcie Europy do mieszaniny się w nieswoje sprawy, na którem najgorzej wychodzą poważnieni, najlepiej „uczciwy pośrednik“. Zato Boliwia z Argentyną mają zamiar wziąć się za łby, to nas jednak nie nic obchodzi, po pierwsze dla tego, iż zanadto daleko są od nas, po drugie, iż amerykańskie stosunki jakoś nas mało interesują, chyba, jeśli chodzi o jakiego amerykańskiego wujaszka z dolarami, który zawsze bardzo chętnie widziany bywa w Europie bez względu, czy pochodzi z Boliwii, Argentyny lub skądinąd.

Na zakończenie niech mi wolno będzie wyrazić po raz nie wiem już który głębokie ubolewanie pod adresem władz niebieskich, zajmujących się pogodą i temperaturą. Wszystkie nadzieje, jakie żywiłmy na czas wakacyjny, pod wpływem deszczu spłynęły do Rudawy, a z nią do Wisły. Żaden tu rekurs ani narzekanie nie pomoże, zanim bowiem doszłyby na miejsce przeznaczenia ze względu na wielką odległość i znany pospiech pocztowo-telegraficzny. będzie tymczasem zima, a wówczas pogody nie potrzebujemy. Połowa wakacji minęła bezpowrotnie, za jakie dwa lub trzy tygodnie zjadą nasze czcigodne połowice, a tu żaden z nas nie użył jeszcze przyjemności, jakich się w tym czasie spodziewał. Taka to już nasza dola! Podobno o ten deszcz prosiły nasze małżonki, bojąc się o mężowską wierność i niestety dokazały swego!

X.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną  
**KAWIARNIA J. BISANZA**  
w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter.